GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1938 R.

Nr. 15 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA
NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 15
1938 R.
1 — VIII

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

W OBLICZU USTAWOWEGO ZAPEWNIENIA ŚRODKÓW NA POPIERANIE CEN ROLNYCH

Już sama strona zewnętrzna — tytuł ustawy „o środkach finansowych na popieranie gospodarczo uzasadnionego kształtowania cen artykułów rolniczych", jej część deklaratywna zawarta w 2-im ustępie 1-go artykułu, oraz wniesienie projektu na dobiegającą już do końca sesję nadzwyczajną — wystarczyły, by zainteresować silnie opinię publiczną tym nowym posunięciem polityki gospodarczej. Bardziej krytyczne spojrzenie doprowadza zresztą do tego samego wniosku, do wniosku, że mamy do czynienia z decyzją o dużym znaczeniu bezpośrednim i nie mniejszym wtórnym.

Założenie ustawy jest niezmiernie proste. Oficjalna motywacja brzmi mniej więcej w ten sposób: nadmierny spadek cen rolnych staje się czynnikiem zakłócającym równowagę w podziale dochodu społecznego, a w konsekwencji czynnikiem, wywołującym kryzysowe objawy w całokształcie gospodarki. Stąd zadanie zapobiegania zbyt silnemu spadkowi tych cen, względnie jak mówi ustawa, wpływanie na kształtowanie się tych cen na poziomie opłacalnym. Taki jest cel. Środkiem dla realizacji tego celu jest, jak wiadomo, opłata od konsumcji wewnętrznej mąki i kaszy, zapewniająca wraz z równoległemi dotacjami budżetowemi większe środki na politykę cen rolnych, niż można osiągnąć przy powołaniu do świadczeń samego tylko budżetu Państwa. Oficjalna motywacja znowu wskazuje, że ofiary konsumentów ex re opłaty są na pewno mniejsze, od tych szkód, które ponieśliby w konsekwencji zachwiania równowagi i zahamowania rozwoju gospodarstwa społecznego.

Tym czynnikiem, który najczęściej powoduje zniżkę poziomu cen rolnych w Polsce, jest proces, który zyskał sobie nazwę „wiązania się z rynkiem światowym". Nazwy tej używam niechętnie. Jeśli bowiem zanalizujemy stosunek naszych cen rolnych do cen światowych, to będziemy musieli stwierdzić, że w większości artykułów przeważnie związek ten istnieje stale. Nie zawsze ma on charakter prosty, t.zn. nie zawsze ceny krajowe utrzymują się na poziomie cen światowych minus koszta transportu. W praktyce naszej polityki gospodarczej zazwyczaj w najważniejszych artykułach działa jakaś postać pomocy rządowej, która sprawia, że ceny krajowe wahają się wprawdzie w zależności od rynku światowego, ale na poziomie wyższym. Oczywiście skala oddziaływania tak czy inaczej zbudowanej pomocy nigdy nie jest 100-procentowa, a jej skuteczność maleje w miarę jej wzrostu, w miarę przybliżania się cen do punktu, w którym konsumcja wewnętrzna zaczyna się kurczyć.

Okresy zupełnej niezależności od cen światowych są dość rzadkie i mają bądź charakter wahań sezonowych, bądź wynikają z procesów cyklicznego kurczenia się niektórych gałęzi produkcji, bądź wreszcie mają swe źródło w chwilowym załamaniu się produkcji na tle np. warunków klimatycznych. Że tak mniej więcej przedstawia się stan rzeczy w dziedzinie zbóż, jesteśmy wszyscy świadomi. Natomiast nie jest doceniany fakt, że rynek światowy wywiera prawie równie silny wpływ na ceny tak podstawowych artykułów hodowlanych, jak trzoda chlewna, masło, jaja. Wprawdzie procentowo eksport tych artykułów w stosunku do zbytu na rynku wewnętrznym jest pokaźnie mniejszy od analogicznej cyfry dla zbóż, tem niemniej nadwyżki wywozowe przy obecnych rozmiarach produkcji hodowlanej i przy obecnej pojemności rynku wewnętrznego, są dostatecznie duże, by stawać się regulatorem ceny rynkowej.

Warto przy tem podkreślić, że od pewnego czasu ani wywóz trzody chlewnej, ani jaj nie korzysta z pomocy budżetowej w żadnej postaci, czyli że znajdujemy się nie tylko w zależności od rynków światowych, ale nawet na poziomie, ściśle przez te rynki wyznaczonym. Oczywiście nie na poziomie najwyższych cen, napotykanych w gospodarstwie światowym, a więc nie na poziomie gospodarstw zamkniętych.

Na czem opiera się zjawisko nadwyżek wywozowych w rolnictwie? Sprawa ta została w sposób szczególniejszy zaciemniona w odniesieniu do zbóż. W zakresie produktów hodowlanych ujmuje się tę sprawę jak najprościej. Jesteśmy świadomi, że konsumcja nasza nie jest wysoka, ale zdajemy sobie sprawę, że wzrost konsumcji jest zależny od całokształtu sytuacji gospodarczej, że istotnie głębokie przemiany dają się tu osiągnąć jedynie w toku wieloletniego procesu, na tle urbanizacji kraju. Toteż mając świadomość, że produkcja hodowlana rośnie, mniemamy, że w wyścigu pomiędzy narastającą produkcją i konsumcją przodować będzie pierwsza, że nadwyżki wywozowe w kraju o niedostatecznym uprzemysłowieniu muszą mieć charakter trwały.

Inaczej przedstawia się sprawa zbóż. Na pewno można uważać za niezmiernie przekonywujące wywody, które wskazują, że nadwyżka wywozowa w tej produkcji zniknie wcześniej, we wcześniejszym stadium rozwojowym. Prosta obserwacja historii gospodarczej szeregu krajów, przechodzących proces intensyfikacji produkcji rolnej i uprzemysłowienia wskazuje, że tak właśnie w tych krajach rzecz się miała. Niewątpliwie też konkurencja europejskiego zboża z wytworami krajów stepowych jest szczególnie trudna, na pewno trudniejsza, niż jakiegokolwiek produktu hodowlanego, poza bydłem rogatym. Co więcej, istnieją powody do tego, by ewolucję we wspomnianym kierunku przyśpieszać.

Podczas gdy nasz eksport poszczególnych artykułów hodowlanych w procentach obrotów światowych wyraża się z reguły liczbami jednocyfrowemi i to najczęściej bliższemi 1-ki niż 9-ki, to nasz eksport żyta sięga w niektórych latach 40% obrotów światowych. Przy tem cechą charakterystyczną rynku żytniego jest to, że każde zwiększenie podaży ponad zapotrzebowanie nielicznego kręgu krajów spożywających chleb żytni, sprowadza żyto do roli i ceny artykułu pastewnego (w latach małego wywozu żyta cena kwintala żyta sięga 160% i więcej w stosunku do kukurydzy, w latach dużego wywozu spada do ceny kukurydzy i niżej).

Po stronie rynku wewnętrznego również perspektywy rozwojowe produkcji zbożowej i hodowlanej są różne. Konsumcja chleba w Polsce jest, jak uczy praktyka, elastyczniejsza niż gdzie indziej, choć oczywiście elastyczność spożycia chleba jest mniejsza niż produktów hodowlanych. Natomiast rozwój hodowli automatycznie pociąga za sobą z jednej strony pomniejszenie areału uprawy zbóż na rzecz pastewnych, z drugiej zaś powiększa popyt na zboża jako artykuł paszowy. W rezultacie wydaje się, że na dalszy dystans Polska, podobnie jak szereg innych krajów, eksportu zboża zaniecha, natomiast nie pozostaje z powyższym poglądem w żadnej sprzeczności twierdzenie, że na lata najbliższe zjawiska takiego nie należy oczekiwać. Bardzo często mamy do czynienia z niesłusznym przeciwstawianiem sobie tych dwu poglądów — jednego, który obrazuje bliższy etap rozwoju, i drugiego, który dotyczy ewolucji w dłuższym dystansie czasu. Ta pomyłka często utrudnia prawidłową prognozę. Jeszcze bardziej zaciemnia sytuację wspomnienie lat kryzysowych. Niezmiernie rozpowszechniony jest pogląd, że „im cena zboża niższa, tem jego podaż większa". W harmonii z tym poglądem pozostaje traktowanie naszej nadwyżki jako nadwyżki o charakterze wyłącznie głodowym. Gdyby istotnie podaż zboża była odrotnie proporcjonalna do ruchu cen, mielibyśmy tu do czynienia z czemś na prawdę wyjątkowym, gdyż we wszystkich innych wypadkach obserwujemy procesy wręcz odmienne. Twierdzenie zacytowane wyżej polega jednak na prostym nieporozumieniu — na zgeneralizowaniu wniosku opartego o pewną bardzo szczególną sytuację. Twierdzenie to przede wszystkim grzeszy brakiem precyzji. Niska cena nie może zachęcać do produkcji. A zatem gdyby nawet przypuszczać, że z tych czy innych przyczyn w ramach jednego roku gospodarczego spadek cen wywołuje wzrost podaży, to na skalę kilku lat oddziaływanie niskiego poziomu cen nie może być takie samo, a nawet może być wręcz odmienne.

Ale czy nawet w ramach jednego roku można uznać za słuszne twierdzenie, że spadek ceny wywołuje wzrost podaży zboża? — W pewnych okolicznościach tak. Cóż to za zespół okoliczności?

1) Ogólna sytuacja,ogólny poziom dochodu rolnictwa musi być niski;

2) możliwości powiększenia przychodu gotówkowego przez sprzedaż innych artykułów rolnych muszą być nikłe;

3) sztywne obciążenia, nacisk finansowy na wieś musi być silny.

Przy tym zespole warunków istotnie rolnik zmuszony do wygospodarowania pewnego minimalnego quantum gotówki i nie mający możności zdobycia tej gotówki przez sprzedaż dajmy na to trzody chlewnej istotnie podaż zboża zwiększy. Natomiast w warunkach kiedy np. hodowla będzie rentowna, a zbyt produktów hodowlanych łatwy, rezultatem spadku ceny zboża przy jednoczesnym nacisku finansowym na wieś, nie będzie zwiększenie podaży zboża, lecz artykułów hodowlanych. Oczywiście może być pewna grupa gospodarstw czysto zbożowych, która po tej drodze nie będzie mogła pójść. Podkreślam przy tem, że do rzędu takich gospodarstw nie można z reguły zaliczać większej własności, gdyż konsumcja wewnętrzna dająca się ograniczyć na rzecz sprzedaży na rynek nie jest w tych gospodarstwach pozycją poważną, ani też lwiej części drobnych gospodarstw, gdyż te posiadają na ogół kierunek hodowlany.

Generalnie biorąc, dyspozycje rolnika w zakresie podaży zboża nie są zależne tylko od jednego czynnika: ceny zbóż, a od całego zespołu czynników, wśród których wymienić trzeba: ogólną sytuację koniunkturalną rolnictwa, rozmiary obciążeń sztywnych, poziom cen i możliwości zbytu innych poza zbożem artykułów rolnych, rozmiary produkcji, rozkład geograficzny produkcji, rozmiary produkcji pasz, itp.

itp. W zależności od tego całego zespołu spadek cen zboża może działać bądź to w kierunku zwiększenia podaży, bądź w kierunku jej zmniejszenia.

Podobnym uproszczeniem wydaje się pojęcie podaży, głodowej. Olbrzymia część wsi spożywa niedostateczną ilość zboża. Ale czy to właśnie te gospodarstwa wyrzucają zboża na rynek? Niekiedy nawet te, najczęściej nie te. W każdym zaś razie niedostateczne spożycie zbóż na wsi, podobnie jak niedostateczne spożycie artykułów hodowlanych, nie jest funkcją samych tylko cen zboża, ani też odwrotnie — podaż nie wynika wyłącznie czy w przeważającej mierze z niedokonsumcji zboża. W obu wypadkach mamy do czynienia nie z jednym czynnikiem, a z całym szerokim splotem elementów. Wśród tych elementów pragnę zwrócić uwagę na ten, który dla celów rozgrywki politycznej jest przez pewną grupkę silnie kwestionowany. Kwestionowany przy tem w oparciu o pozornie przekonywujący materiał, bo o cyfry zbiorów. G. U. S. znalazł się w sytuacji rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Trudno przecież wymagać od G. U. S.-u więcej, aniżeli to, ażeby opublikował i ocenił w sposób krytyczny metodę budowania szacunku zbiorów. Postulatowi temu stało się dawno zadość. Nikt na pewno nie ostrzegał w sposób tak zdecydowany przed zbyt pochopną interpretacją cyfry zbiorów, jak prace publikowane przez sam G. U. S. Niestety niewiele to pomogło i nadal mamy na porządku dziennym zjawisko operowania cyframi zbiorów bez świadomości, że metoda budowy tych cyfr określa dość wąski zakres użytkowania tych cyfr dla polityczno-gospodarczej prognozy. Mając to na uwadze, mając na oku oczywisty fakt wzrostu liczbowego zarówno pogłowia, jak ludności, oraz nie mniej oczywisty fakt, że spożycie na głowę bez względu na mierniki statystyczne jest wyższe, niż w okresie powojennym — sądzę, iż teza, że produkcja zbóż w Polsce rośnie, pomimo trudności dowodowych, może i musi być przyjęta. Gdybyśmy tej tezy nie przyjęli, to oczywiście cała polityka popierania wywozu zbóż staje się nonsensem i daje się bronić tylko w płaszczyźnie egoizmu warsztatów czysto zbożowych. [1])

Reasumując wywody powyższe, sądzimy, że za rzecz niesporną uważać należy trwałe związanie polskiej produkcji rolniczej z rynkiem światowym, że nie sposób uważać za kataklizm, za naruszenie równowagi, za przykry wyjątek fakt pojawienia się nadwyżek eksportowych. Z takiego stanu rzeczy muszą być wyciągnięte konsekwencje. Mogą one być dwojakiego rodzaju: można wyjść z założenia, że wobec tego całokształt cen w Polsce trzeba przybliżyć do poziomu, który jest narzucony przez świat rolnictwu polskiemu. Prostą konsekwencją tego założenia musiałaby być rewizja ochrony celnej, rewizja polityki importowej poza zagadnieniem celnym. Słowem, polityka zbliżona do tej, jaką prowadzą kraje bałtyckie. Wtedy oddziaływanie na poziom cen rolniczych mogłoby się stać zabiegiem wyjątkowym, ograniczonym do niektórych okresów czasu i niektórych artykułów.

[1]) Obrońcy tezy, że produkcja zbóż w Polsce się kurczy, nie zdają sobie sprawy, że tym stanowiskiem przekreślają całkowicie ich własne postulaty szczególniejszego forsowania wywozu zboża.

Druga droga działania to tworzenie sztucznego poziomu krajowych cen artykułów rolniczych, podobnie jak sztucznym jest poziom cen przemysłowych w warunkach ochrony celnej i ograniczeń importowych.

Która z tych dróg jest lepsza — to temat niezmiernie rozległy, wykraczający poza ramy niniejszego artykułu. Na pewno nigdy sprawność interwencjonizmu państwowego nie może być tak duża, aby usunąć wszystkie minusy utrzymywania poziomu cen oderwanego od świata. Mówiąc obrazowo, na pewno nie wszystkie nici zerwane przez takie ukształtowanie poziomu cen dają się z powrotem nawiązać poprzez działania interwencyjne. Pewnym jest jednak również, że najgorszą formułą jest sztuczny poziom cen przemysłowych przy mechanicznym, wolnym od interwencjonizmu związaniu cen rolniczych ze światem. Ponieważ zaś, słusznie czy niesłusznie, nie możemy się dziś liczyć z tak radykalną zmianą naszej całej dotychczasowej polityki, by ceny artykułów przemysłowych związały się ze światem, pozostaje nam tylko droga kompromisu. Kompromisu, t. zn. równoległego dążenia, by jednak ceny przemysłowe nie zanadto odbiegały od poziomu światowego, by wytworzoną w tej drodze marżę rekompensować rolnictwu w drodze działań interwencyjnych. Zwroty ceł rolnicze w tym świetle są dzieckiem obrony celnej przemysłu.

W aparaturze naszej dotychczasowej polityki gospodarczej niewątpliwie istniała pewna luka. Podczas gdy problem nadwyżek wywozowych jest problemem trwałym, podczas gdy corocznie trzeba się było do tego problemu ustosunkowywać, a niemal corocznie odnośne posunięcia pociągały za sobą bardzo poważne wydatki, dla wydatków tych w ramach gospodarki publicznej brak było wyraźnego, określonego miejsca. Im większą pozycję wydatki te stanowiły, tem bardziej, z punktu widzenia gospodarki budżetowej, były pokrywane nieprawidłowo, niewłaściwie, tem bardziej stawały się czynnikiem perturbacyjnym. Wytworzył się swego rodzaju permanentny konflikt pomiędzy państwem, jako nadrzędnym ośrodkiem dyspozycji gospodarczej, ośrodkiem dążącym do ustalenia pewnej równowagi w podziale dochodu społecznego, i tym samym Państwem, jako dysponentem środków publicznych. Konflikt ten nie miałby istotniejszego znaczenia,gdyby perspektywa zwrócenia się ku innej drodze działania, ku radykalnej rewizji cen przemysłowych, była realna. Z chwilą jednak, kiedy tak nie było, tylko doktryner, liczący się więcej z literą smith'owskiej ewangelii niż z lekcją rzeczywistej rzeczywistości polskiej, może nie widzieć postępu w stworzeniu trwałego i wyraźnego źródła dla posunięć, dotychczas stale, corocznie, od szeregu lat... improwizowanych.

Rzecz prosta, że w zadowoleniu z takiego rozwiązania tkwi ziarno goryczy. Gorycz ta polega na tem, że „zalegalizowanie", utrwalenie zabiegów podnoszących ceny rolnicze, powtarzam: rzecz nieuchronna i porządana w dzisiejszych warunkach — jest równocześnie pewnego rodzaju przekreśleniem nadziei na silniejszą akcję w kierunku wiązania cen przemysłowych ze światem. Tem właśnie tłumaczy się ciepło, cechujące postawę Lewiatana w stosunku do wszyst-

kich koncepcyj utrwalania wyższego poziomu cen rolnych, a w tym rzędzie i do omawianej ustawy.

Charakterystyczną jest rzeczą, że sposób rozwiązania problemu, jaki widzimy w omawianej ustawie, jest nie tylko pod względem doktryny, ale i metody pokrewny z systemem, stosowanym od wielu lat w Polsce na odcinku cen przemysłowych. Jednym z czynników słabości rolnictwa w rozgrywce o podział dochodu społecznego było to, iż te urządzenia polityczno - gospodarcze, które działały na jego rzecz, nie były oparte o trwałą postawę, i stanowiąc cząstkę gospodarki publicznej, ulegały tym samym wahaniom, jakim ulega całość tej gospodarki. Natomiast skartelizowany przemysł, obciążając rynek wewnętrzny na rzecz dumpingu eksportowego, dysponował środkami w znacznej mierze opancerzonymi. Rzecz prosta, ścisłe naśladownictwo metody kartelowej nie jest w rolnictwie — chwała Bogu — możliwe. Jest jednak znaczne podobieństwo z tą metodą w fakcie obciążenia społeczności na rzecz polityki cen rolniczych nie poprzez mechanizm normalnego budżetu, lecz poprzez specjalną opłatę, nałożoną na konsumentów. Pomimo wszystkich różnic ma to z metodą kartelową tę samą ujemną cechę doktrynalną (bardzo zresztą osłabioną przez fakt małej stosunkowo elastyczności konsumcji zboża) i ten sam plus taktyczny, — pewne opancerzenie środków, uzyskiwanych z opłaty.

Nieuchronna, a nawet dla danego celu zbyt mała jeszcze ramowość ustawy, nie pozwala iść dalej w analizowaniu jej treści gospodarczej. Oczywiście pomijam tu zagadnienia wtórne, choć bardzo interesujące, wpływu opłaty na strukturę przemysłu młynarskiego, itp. Wśród problemów, które dopiero przyszłość wyjaśni, wymienić możemy jako szczególnie ciekawe i pod pewnym względem niepokojące, dwa:

Po pierwsze, ponieważ nie mamy kartelu rolniczego, więc w warunkach oderwania się cen wewnętrznych od parytetu eksportowego ciężar opłaty może spadać równie dobrze na konsumenta, jak i na producenta. Stąd oczywiście wynika, jak wielkim błędem były tendencje niektórych maksymalistów rolniczych, domagających się ustalenia sztywnej i wysokiej stawki opłaty, bez uprzytomnienia sobie, że sztywność opłaty, t. zn. konieczność pobierania jej nawet w okresach oderwania, zamiast działać na zwyżkę cen rolniczych działałaby na ich zniżkę, a w najlepszym razie dawałaby sui generis perpetuum mobile, t.zn. zabierania pewnych wartości rolnictwu i oddawania ich z powrotem, i to jeszcze z tą różnicą, że przy pomniejszeniu kwot o koszta aparatu. Stąd też przed wykonawcami ustawy staje konieczność rozgryzienia bardzo twardego orzecha, t. zn. operowania stawką opłaty nie tylko pod kątem zdobycia maximum środków, w ramach przez ustawę dopuszczalnych, lecz i pod kątem uniknięcia efektów ubocznych, z zasadniczym celem ustawy niezgodnych.

Po drugie. Dotychczas same momenty formalne, techniczne faworyzowały wybór najlepszej gospodarczo, najskuteczniejszej i stosunkowo najtańszej metody działania, jaką w odniesieniu do zbóż np. był zwrot ceł. Ustawa, dając technicznie, formalnie inną sytuację, może łatwo odrodzić pokusy działań interwencyjnych tego typu, który się przed kilku laty doszczętnie skompromitował, lecz nie jest jeszcze niestety powszechnie uznawany za skompromitowany. Ponadto już w chwili obecnej na skutek nie dość uważnego czytania zarówno samej ustawy, jak i komentarza autentycznego w postaci przemówienia Pana Wice-Premiera, z różnych stron, niekiedy najbardziej nieoczekiwanych pojawia się myśl „bronienia" określonej, sztywnej, czy bardzo małej — tylko sezonowo — wahliwej ceny. Warto w związku z tem przypomnieć, że tego rodzaju poczynania mogą być o tyle tylko skuteczne, o ile operuje się środkami nieograniczonymi. Natomiast nawet najbardziej wydajna opłata daje środki ograniczone i to, jak w tej chwili, równie trudne do przewidzenia, jak trudno przewidzieć rozmiary nadwyżki wywozowej i koszta prowadzenia polityki cen rolniczych nawet nie kuszącej się o utrzymanie sztywnego poziomu ceny, a jedynie o stworzenie pewnego dystansu od ceny światowej.

Właściwie przewidzieć można tylko jedno. To mianowicie, że gdyby spróbowano „bronić sztywnej ceny", to suma kosztów z sumą środków mogłyby być zbieżne tylko przypadkiem.

KONSTANTY CZERNIEWSKI

UBEZPIECZENIE EMERYTALNE W ROLNICTWIE

Ubezpieczenie emerytalne w rolnictwie powinno być budowane pod kątem specjalnych warunków produkcji rolniczej, oraz przemian jakie zachodzą w strukturze agrarnej i zawodowej rolnictwa.

Senat, uchwalając ustawę o poprawie finansów Ubezpieczalni Krajowej w Poznaniu, powziął rezolucje o konieczności opracowania w ciągu trzech lat projektu ustawy o ubezpieczeniu emerytalnym robotników rolnych, któreby obejmowało cały kraj. Tem samem nie nowe już zagadnienie ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie powraca na warsztat prac polityki gospodarczej i ubezpieczeniowej.

Istnieją problemy wielkiej wagi państwowej, które z różnych powodów nie mają szczęścia. Doceniamy ich znaczenie lecz nie możemy wprowadzić w życie. Do problemów tych zaliczyć można i ubezpieczenie emerytalne w rolnictwie. Powody dla których dotąd ubezpieczenie to nie zostało zrealizowane wynikają z jednej strony z specjalnych warunków produkcji rolniczej oraz małej dochodowości gospodarstw, z drugiej zaś — jak sądzimy — wynikać mogą z nie zawsze usprawiedliwionej tendencji do ujmowania zagadnienia ubezpieczeń na wsi przez wtłaczanie polskiej rzeczywistości wiejskiej w ramy obcych nam wzorów i doświadczeń. Odrazu w tym miejscu należy podkreślić, że doświadczenie woj. zachodnich, mające już blisko 50 lat funkcjonowania tego ubezpieczenia, nie może być dość miarodajne dla pozostałych dzielnic naszego kraju.

Dążność do wprowadzenia ubezpieczenia emerytalnego na wsi jest w pełni uzasadniona. Zarówno zasada powszechności ubezpieczenia, jeśli będziemy to oceniali od strony polityki ubezpieczeniowej, jak i potrzeba zadośćuczynienia idei sprawiedliwości społecznej, jeśli będziemy to oceniali od strony potrzeb socjalnych każą nam dążyć do wprowadzenia tego ubezpieczenia. Dlaczego mierzymy dotąd inną miarką robotnika rolnego a inną robotników pozostałych? — nie jest dostatecznym usprawiedliwieniem złożoność i trudność problemu. Tradycja nie przyznawania rolnictwu należnych mu korzyści w stopniu odpowiadającym jego istotnemu znaczeniu w państwie — w sposób co prawda może bardziej pośredni — znajduje zastosowanie i w tym wypadku. Zachwianie się finansowe Ubezpieczalni Krajowej w Poznaniu w zgodzie z przysłowiem, że „nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło", wysunęło znów na czoło zagadnienie ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie.

Z czterech głównych grup ubezpieczeń: emerytalnego, chorobowego, wypadkowego i bezrobocia, na wsi w stosunku do pracowników fizycznych powszechnie obowiązuje tylko wypadkowe. Emerytalne istnieje tylko w województwach zachodnich, w pozostałych częściach kraju umowy zbiorowe przewidują t. zw. 25-lecie, po którym robotnik nie może już być zwolniony z pracy i z chwilą niezdolności do pracy staje się t. zw. gracjalistą. Ubezpieczenia chorobowego nie ma, istnieje natomiast świadczenie zastępcze w postaci obowiązku leczenia przez pracodawcę, teoretycznie, na warunkach podobnych jak w Ubezpieczalni. Nie ma ubezpieczenia na wypadek bezrobocia.

System gracjalistów sprawy nie rozwiązuje. Nie jest dostatecznie powszechny, daje pole do dość dowolnego regulowania warunków, pomija wdowy i sieroty, w wypadku złej woli umożliwia pozbawienie praw przez wymówienie pracy np. po 24-letniej służbie. Mimo to może rodzić się pytanie, czy jednak w pewnych wypadkach nie zastępuje ubezpieczenia. Niezbędne tu jest badanie, któreby dało odpowiedź jaki jest obecnie zasiąg ilościowy i warunki bytu gracjalistów.

Potrzeba sanowania Ubezpieczalni Krajowej w Poznaniu, która działalnością swoją obejmowała od roku 1934 tylko robotników rolnych z woj. poznańskiego i pomorskiego, budzić może przy pewnych założeniach pesymizm co do realności ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie. Trzy są powody zachwiania się finansowego Ubezpieczalni Krajowej. Pierwszy, który należy uznać za nadzwyczajny i nienadający się do wkalkulowania w projekty ogólnokrajowe, jako niepowtarzalny, to uszczuplenie rezerw na skutek dewaluacji pieniądza i znaczne obciążenie z tytułu obowiązków przedwojennych. Drugi — to oddzielenie ubezpieczenia robotników rolnych od ubezpieczenia robotników pozostałych, w związku z wejściem w życie ustawy scaleniowej. Trzeci — to słabe możliwości płatnicze rolnictwa w ogóle a w czasie kryzysu w szczególności; mimo bardzo niskich świadczeń przypis składek nie wystarczał. Powody drugi i trzeci w ostatecznym wyniku należy ze sobą powiązać. Strukturalnie i nie przemijająco słabe możliwości płatnicze rolnictwa nie pozwolą na stworzenie samowystarczalnego systemu ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie. Godzą się z tym inne kraje, gdzie istnieją stałe dopłaty ze skarbu państwa. Uznały tę tezę i nasze izby ustawodawcze. Poprawki Sejmu i Senatu poszły dalej, niż to przewidywał projekt rządowy sanacji Ubezpieczalni Krajowej. Od 1 stycznia 1939 Ubezpieczalnia ta zostanie nie tylko finansowo ale i organizacyjnie scalona z Z. U. S. Uchwalono dopłaty ze Skarbu Państwa oraz możliwość powiększenia składki emerytalnej w całym kraju. Zatriumfowała w pełni zasada solidarności ubezpieczenia, niedobory pokrywają w części zainteresowani dzielnicowo a w części ogół podatników i ogół pracodawców i robotników. Przypominamy, że przed rokiem 1934 w Ubezpieczalni Krajowej byli ubezpieczeni również i inni robotnicy (przemysłowi, handlowi itd.) z obecnych dwóch województw zachodnich.

Dlatego jako jeden z podstawowych warunków ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie należy uznać zasadę powszechności i solidarności ubezpie-

czenia nie zależnie od dziedziny produkcji. Nie będzie to zresztą filantropią ze strony jednej grupy dla drugiej. Ciężar utrzymania niezdolnych do pracy spada w ostatecznym wyniku na barki społeczeństwa i jest rozkładany w ten lub inny sposób na ogół ludności. A jeśli czasem (a może przeważnie) nie powoduje dodatkowych kosztów z kieszeni publicznej, to odbywa się kosztem zaciskania pasa i nędznego wegetowania nie doszłego i nie zawinionego emeryta rolnego. W tym drugim wypadku pewien przelew na konto ubezpieczenia rolnego będzie choć częściowym wyrównaniem jak dotąd jeszcze nie doskonałego klucza rozdziału dochodu społecznego.

Poza niską zdolnością płatniczą rolnictwa, co — jak wyżej omówiliśmy — wymaga uznania zasady scalenia ubezpieczeń dla różnych dziedzin produkcji, istnieją jeszcze trudności innej natury, wypływające ze specjalnych warunków produkcji rolniczej. Ta odrębność stukturalna produkcji wymaga znów oddzielnych metod w technice ubezpieczenia i w jego zakresie.

Brak ciągłości w pracy przy istniejącej płynności w charakterze pracującego, który obok pracy najemnej występuje jako przedsiębiorca samodzielny chociaż na małym warsztacie, wysuwa na czoło sprawę zakresu ubezpieczenia. Kogo należy ubezpieczać i jak traktować ubezpieczonego z mieszanym rodzajem pracy? Wielka ilość warsztatów produkcji i rozrzucenie w przestrzeni zwłaszcza w stosunku do najmu w gospodarstwach wielkochłopskich — to znów drugie zagadnienie, utrudniające ewidencję ubezpieczonych i kontrolę spełniania obowiązku ubezpieczenia; wspomniany poprzednio brak ciągłości w pracy również sprawę tę komplikuje.

Patrząc na problem pracy najemnej w rolnictwie na t. zw. długiej fali, musimy przewidywać, że przyszłość przyniesie nam zmniejszenie najmu rolniczego, zwłaszcza na odcinku z zasady ubezpieczanych - robotników stałych. Parcelacja zmniejsza najem większej własności, nie dając na to miejsce najmu stałego w postaci służby chłopskiej (porobków i dziewczyn), bowiem gospodarstwa tworzone z parcelacji należą prawie z reguły do typu rodzinnych nie korzystających z najmu stałego, a czasem nawet nie donajmujących pracowników nie stałych.

Jeśli zatem zestawimy ze sobą dwa zjawiska istotne dla struktury demograficznej rolnictwa: a) istnienie najmu niestałego, przeważnie pochodzącego z gospodarstw małorolnych o zmiennym stanowisku społecznym, którego jednak nie wolno pozbawiać ubezpieczenia i b) niewątpliwe zmniejszanie się masy ubezpieczonych, jeśli za ubezpieczonych będziemy uważać tylko robotników wyraźnie określonych; to przyjść musimy do wniosku, że problem ubezpieczeń w rolnictwie rozwiązywany w pełni i na długiej fali wymagałby dosyć specjalnego ujęcia. Zmniejsza się najem stały, rośnie najem niestały, wzrasta liczba ludności małorolnej — wyciągamy wniosek: ubezpieczenie emerytalne winno być tak zbudowane, aby służyło potrzebom nie tylko proletariatu rolnego ale i półproletariatu — czyli ludności małorolnej. Ubezpieczenie wypadkowe i chorobowe (którego nie ma) musiałoby również mieć szerszy zasięg.

W definicji ubezpieczenia występuje jako jedna z cech fakt płacenia składki. Kto miałby płacić składkę za małorolnego, pracującego w charakterze najemnika tylko kilka tygodni w roku? Sądzimy, że odpowiednie fundusze musiałyby się znaleść w ogólnym planie pomocy dla rolnictwa, jako zabezpieczenie bytu tych, którzy mają ziemi za dużo, aby umrzeć, a za mało, aby żyć. Byłby to znów problem tylko sprawiedliwego krajania bochenka chleba.

Poruszając zagadnienie ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie w szerokiej płaszczyźnie, wynikającej konsekwentnie z przypuszczalnego układu stosunków demograficznych rolnictwa, traktujemy to jako postulat na razie o wadze tylko teoretycznej. Projektowanie ubezpieczenia na „fali średniej" pozwoli to zagadnienie uprościć, pamiętając jednakże, że w przebiegu przyszłego ubezpieczenia, okres pierwszych lat będzie bieżąco łatwy, bowiem składki będą wpływały a świadczeń jeszcze nie będzie. Po okresie ewentualnej równowagi przyjdą jednak lata, kiedy zmniejszać się pocznie liczba ubezpieczonych, a więc i wpływ składek, a rosnąć będzie ciężar świadczeń.

Opracowany w 1934 roku projekt ustawy emerytalnej dla robotników rolnych, przewidywał obowiązek ubezpieczenia robotników stałych i sezonowych oraz z pośród nie stałych, tych którzy pracowali dłużej niż 25 dni. Przewidziano słuszny system udzielania odpraw, specjalnie nastawiony na interesy robotników niestałych. Nie będziemy wdawali się w rozważania na temat treści przyszłej ustawy emerytalnej. Wypłyną tu liczne i poważne trudności i wątpliwości. Kogo ubezpieczać, (np. czy i dorywczych), czy ustalać granicę wielkości gospodarstw podlegających przymusowi ubezpieczenia (np. czy i poniżej 30 ha), jakie ustalić sposoby wymiaru składki (personalnie od zarobku, znaczkami, ryczałtem na hektar), jak pokrywać niewątpliwe deficyty, jak prowadzić ewidencję ubezpieczonych itd.

Wspomnieliśmy na początku, że doświadczenie z woj. zachodnich będzie mało przydatne. Wpływa na to cały szereg przyczyn; większa zamożność rolnictwa, karność organizacyjna pracodawców, duże uświadomienie robotników. Mimo tych dodatnich cech, ubezpieczenie nie jest samowystarczalne ani też — zdaje się — nie obejmuje w całości wszystkich, którzy muszą być ubezpieczeniem objęci. Stąd potrzeba poszukiwania innych dróg dla pozostałych dzielnic, dążąc do możliwie wielkiej prostoty systemu przy powszechności zasięgu. Konieczność dopłat jest nieunikniona.

Na specjalną uwagę zasługuje kwestia ubezpieczenia robotników w gospodarstwach mniejszych. Obecnie gospodarstwa o powierzchni poniżej 30 ha wolne są od obowiązku ubezpieczenia wypadkowego i zastępczych świadczeń chorobowych dla pracujących robotników. Trudno tego rodzaju system uznać za słuszny. Czemu ten sam robotnik zatrudniony u gospodarza 29-hektarowego nie korzysta z dobrodziejstwa ubezpieczeń a pracując u gospodarza 31-hektarowego — korzysta. Jeśli powodem tego przepisu jest mała uchwytność najmu należy zaostrzyć kontrolę i sankcje karne. Jeśli powodem jest chęć ochronienia

mniejszych gospodarzy od nowych ciężarów, należy dopłacić z innych źródeł.

Podnoszono w swoim czasie projekt, aby zamiast ubezpieczenia emerytalnego wprowadzić system przymusowych oszczędności np. w P.K.O. pokrywanych w części przez pracodawcę i w części przez robotnika. System ten wymaga również kosztownej administracji, nie daje gwarancji właściwego wykorzystania nagromadzonych oszczędności i — co najważniejsze — nie daje podstaw dla zabezpieczenia osób mało lub stosunkowo krótko zarabiających, co przy systemie ubezpieczeń jest solidarnie wyrównywane. Tworzenie specjalnych rezerw, zbliżałoby już system indywidualnych oszczędności do ubezpieczenia.

Problem ubezpieczenia emerytalnego w rolnictwie aktualny jest na nowo. Projektowanie ustawy wymaga znajomości wielu stron najmu w rolnictwie. Dokładna znajomość stosunków i struktury najmu to jeden z zasadniczych czynników, warunkujących powodzenie i realność przyszłej ustawy. Prace badawcze winny już być rozpoczęte zanim na warsztacie zainteresowanych ośrodków polityki ubezpieczeniowej i gospodarczej znajdzie się ustawa emerytalna.

WŁADYSŁAW LEWANDOWSKI

PLANOWANIE MIAST I OSIEDLI A WYCHOWANIE GOSPODARCZE

W planowaniu pracy gospodarczej odgrywa decydującą rolę wartość materiału ludzkiego. Stąd zagadnienie szkolenia charakterów nabiera coraz większej doniosłości, a jest to dziedzina, która nie znalazła dotychczas realnego ujęcia w pracy szkolnej i wychowawczej.

Dwie są w chwili obecnej wielkie, wyraźnie od siebie oddzielone sfery planowania gospodarczego. Pierwsza jest ściśle związana z konsekwencjami interwencji państwa i czynników prawno-publicznych w dziedzinę wolnej, prywatnej gospodarki, w dziedzinę prywatnego zysku z przedsiębranych ryzyk przemysłowych i handlowych, w zakresie i rozmiarach gospodarki indywidualnej.

Druga sfera planowania obejmuje wysiłki i prace państwa, samorządu i organizacyj społecznych mających na celu usunięcie chaosu, marnotrawstwa materiału, pieniędzy i pracy ludzkiej we wszystkich realizowanych przedsięwzięciach państwowych, samorządowych i prywatnych. W tej drugiej sferze planowania na pierwsze miejsce wybija się troska o najlepsze zużytkowanie ziemi, przede wszystkim terenów miejskich i przemysłowych, o najskuteczniejsze gospodarczo powiązania komunikacyjne, o zaopatrzenie poszczególnych ośrodków w źródła energii dla pracy przemysłowej.

Planowanie w tej sferze dąży też do zabezpieczenia człowiekowi dobrych, zdrowych warunków życia w mieście i na wsi, obejmuje więc akcję mieszkaniową i higieniczną, jak i akcję obronną na wypadek wojny i jej następstw. To planowanie odległe jest od walk politycznych i gospodarczych między wielkim, prywatnym kapitałem a państwem, między prywatną własnością a socjalizmem, choć niewątpliwie czyni możliwym i łatwiejszym przebieg planowania gospodarczego, związanego z ingerencją państwa w gospodarkę prywatnego przedsiębiorcy, planowania realizującego często wielkie cele gospodarcze i państwowe rządów.

O ile we wszystkich krajach toczą się gwałtowne spory w sferze tego planowania, to w drugiej sferze „Town and Country Planning" sporów zasadniczych nie ma, a praca w tej dziedzinie rozwija się od czasu wojny poważna i głęboka również w krajach demokratycznych, nie realizujących programów związanych z wielkimi planowaniami gospodarczymi.

To „planowanie miasta i wsi" łączy się z przygotowywaniem mieszkańca budowanych osiedli ludzkich, stąd praca jednoczesna nad wychowaniem człowieka. Chciałbym tu zwrócić uwagę na związek między tymi dwoma zagadnieniami: wychowaniem człowieka a planowaniem dla niego osiedla.

Od czasu do czasu pojawiają się u nas artykuły o gospodarczym wychowaniu człowieka w Polsce, poświęcali temu zagadnieniu w przeszłości swoją uwagę czołowi działacze społeczni i gospodarczy, między innymi Władysław Grabski. Jednakże sporadyczne zwracanie uwagi na to zagadnienie sprawy wychowania gospodarczego nie posunęło naprzód. Niewątpliwie istnieje wiele organizacyj, które, mając na celu wychowanie obywatelskie, dokonują w pewnej mierze prac nad wychowaniem gospodarczym.

W sumie rezultaty przygotowania człowieka do pracy gospodarczej w Polsce są bardzo słabe. Człowiek jako element gospodarczy jest w dalszym ciągu bierny, bezwolny, nie wykazuje „zmysłu interesu", chęci osiągania zysków, zarobienia przy nakładzie własnej inicjatywy i pracy. Niski poziom kulturalny i oświatowy odgrywa tu wielką rolę, ale nie jest wyłącznym czynnikiem, gdyż na wyższych szczeblach wykształcenia i kultury obserwujemy ten sam nastrój bezwładu gospodarczego, braku inicjatywy i chęci zmieniania istniejącej swojej własnej najbliższej rzeczywistości na lepszą.

Jest rzeczą oczywistą, że nastroje i charakter człowieka gospodarującego, tego najmniejszego elemen-

tu w gospodarce narodu, jaskrawo rysują się na tle nowego planowanego i budowanego osiedla. Dlatego właśnie z taką wyrazistością maluje się charakter człowieka gospodarującego na terenach objętych planami inwestycyjnymi C. O. P., gdzie obok wielkiej inicjatywy, energii i pięknie rozwijającej się twórczości technicznej i przemysłowej, obserwuje się często u miejscowej ludności niezrozumienie swojego interesu, brak mądrej inicjatywy, niechęć podejmowania wysiłków, które byłyby w sumie ważnym uzupełnieniem wysiłków państwa. Jest rzeczą jasną, że przełamanie tego bezwładu gospodarczego u ludności zupełnie nie przyzwyczajonej do myślenia i sądzenia spraw gospodarczemi kategoriami, potrwać musi czas dłuższy.

Prace nad planowaniem kraju obejmują umiejscawianie nowych przemysłów, obronę specjalnych terenów i miast przed rozwojem niektórych przemysłów, które z większym pożytkiem mogą być budowane gdzie indziej. Dalej rozplanowywanie terenów miejskich, planowanie osiedli mieszkaniowych, miast ogrodów, terenów fabrycznych, połączeń komunikacyjnych. Przypatrzmy się dla przykładu miastom Centralnego Okręgu Przemysłowego, których stan jest bardzo reprezentatywny dla wszystkich innych w centralnych, wschodnich i południowych województwach. Oczywiście każde miasto ma inny charakter, stanowi odrębny organizm gospodarczy i socjologiczny, ma różne możliwości rozwojowe i finansowe, ale jedno w nich jest wspólne — przestarzałość urządzeń i brak urządzeń miejskich.

Rynek miejski jest wszędzie za mały, uniemożliwia to normalną wymianę handlową. Jak słusznie stwierdza St. Zbrożyna „rynki i urządzenia handlowe olbrzymiej większości naszych miast są dostosowane do potrzeb i warunków wymiany gospodarczej z okresu ubiegłego stulecia i są już daleko niewystarczające" [1]). Potrzebne są hale targowe, składy i przechowalnie dla towarów, chłodnie, wagi publiczne itd. Sprawa bruków, chodników we wszystkich miastach przedstawia się opłakanie, przeważnie w 50% ulice są niebrukowane. Powiązania komunikacyjne są również w wielkiej części złe, stacje kolejowe i linie omijają często miasta, leżą na uboczu. Brak jest dobrej wody, nie mówiąc już o wodociągach i kanalizacji itd. itd.

Kilka przykładów wystarcza, by zarysował się obraz miasta prowincjonalnego, w którym odbywa się wegetacja kilku czy kilkudziesięciu tysięcy obywateli w warunkach często bardzo prymitywnych. A przecież podniesienie tych miast, tchnienie w nie życia, to sprawa nadania kształtu realnego projektom okręgu przemysłowego.

Narzucają się tu wielkie prace z dziedziny planowania. Oto jak się przedstawia sprawa planów zabudowania w miastach Centralnego Okręgu Przemysłowego: zaledwie 7 miast na 86 znajdujących się na terenie C. O. P. posiada plany zabudowania ukończone lub na ukończeniu, 13 miast prowadzi prace pomiarowe dla sporządzenia planów, 10 miast w roku bieżącym miało otrzymać kredyty na te prace.

[1]) „Samorząd Miejski" nr. 10/1938: „Zagadnienia gospodarcze miast na obszarze Centralnego Okręgu Przemysłowego".

Plany zabudowy stanowią najważniejszą podstawę do prawidłowego, celowego powiązania nowych inwestycyj z terenem i środowiskiem, to też brak ich stanowi ogromną przeszkodę w wytwarzaniu najlepszych powiązań z nowymi dużymi i poważnymi obiektami, które tam już powstają.

Łączy się z tem zagadnienie terenów, które powinny być przed rozpoczęciem rozbudowy przydzielone przez Państwo, czy też zakupione przez miasto, by późniejsza rozbudowa nie była narażona na skutki akcji spekulacyjnej, hamującej i utrudniającej rozwój nowych osiedli. Należało by wprowadzić zasadę, że przed rozpoczęciem budowy obiektów rządowych i wojskowych na terenach przeznaczonych pod rozbudowę, zagadnienie zabezpieczenia potrzebnych terenów gminie i miastu powinno być rozwiązane, że zapas terenów w rękach państwa i gminy powinien być dostatecznie duży, by skutecznie przeciwdziałać prywatnej spekulacji.

Mamy wejść w okres intensywnych prac nad urbanizacją kraju, by zmienić wadliwości struktury rolnej, uczynić silnymi, zagospodarowanymi małe miasta i miasteczka nasze, dotąd nędzne i bardzo słabowite. Nie można tego zrobić bez dokładnej znajomości miejscowych warunków gospodarczych, bez analizy potrzeb i możliwości ich narastania, przy odpowiedniej rozbudowie czynników gospodarczych. Prace te wymagają poważnego badania, dobrej metody i głębokich studiów.

Z istniejącego stanu rzeczy nie można wyciągnąć wniosku, że odbywa się w kraju ta konieczna, nieodzowna robota badawcza.

Wiemy, że istnieją takie komórki w wielkich organizacjach gospodarczych, np. Izbach Przemysłowo-Handlowych, Rolniczych, które zajmują się problemami planowania w swojej dziedzinie. Nie znane są jednak np. metody, środki i częściowe choćby wyniki tych prac, nie są one koordynowane i nawzajem kontrolowane. *Stąd narzuca się wniosek, by ujawnić wszystkie dokonywane na ten temat wysiłki, rozejrzeć się w warunkach dokonywanych prac, przedyskutować metody i sposoby.* Zagadnienie planowania miasta i wsi polskiej, to jest wielkie dzieło zakrojone na dziesiątki lat, a praktycznie nie kończące się, od którego niezmiernie wiele będzie zależało; dlatego traktować trzeba to zagadnienia na najszerszej płaszczyźnie. Dotychczasowe władze człowieka w planowaniu, przewidywaniu, konstruowaniu swojej przyszłości są tak słabe i ubogie, że na to, by prace te posiadały wartość rzeczywistą, muszą być sprawdzane przez wszystkie dostępne probierze.

W wielu krajach powołano Narodowe Komisje, czy Komitety Planowania, które wykonują prace monograficzne dla każdego powiatu, gminy i osiedla. *Powstanie dziś takiego naczelnego instytutu planowania w Polsce jest ważne ze względu na prowadzone już prace specjalne w różnych centrach gospodarczych.* Wiemy jak dużo kosztowała nas bezplanowość i chaotyczność w budowie choćby w Warszawie, gdzie setki milionów publicznych i prywatnych wydatkowano w dziesięcioleciu 1924 — 1934 nie troszcząc się ani o koordynację między budowanemi inwestycjami, ani o danie np. w rozbudo-

wie mieszkaniowej wyrazu myśli i jednolitej koncepcji urbanistycznej.

Pojęcie tego, co nazywa się dziś „planowaniem miasta i wsi” wiąże się nierozerwalnie z myślą o człowieku, bo to wszystko jest przecież dla niego przeznaczone, bo trzeba przewidzieć, co on tam będzie robił, jak będzie żył i pracował w tych budowanych domach, ogrodach i zakładach pracy.

Gdy oglądamy np. holenderskie osiedla robotnicze i myślimy z zazdrością o tem, że my nie mamy takich mieszkań, z takimi meblami i bibliotekami w robotniczych dzielnicach, to przede wszystkim myślimy o tych różnicach między tamtym człowiekiem, a maszyn. Mówimy, wtenczas, że naszego trzeba wychować, że wychowywać go będą te osiedla, które będziemy budować i ta atmosfera, którą tam trzeba wprowadzać.

Jednakże nie możemy zapominać, że na tle ogólnego życia naszych miast, miasteczek i wsi tylko w nielicznych wypadkach będzie można w niedługim czasie pobudować osiedla robotnicze z ogródkami i najprostszymi choćby urządzeniami, ale już bliskie tamtym na zachodzie i północy, na które z zazdrością patrzymy. Takie właśnie, powiedzmy, jak budowane przez T. O. R. czy przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową.

W wielkiej całości w dalszym długim ciągu lat będziemy prostować, ulepszać osiedla stare, zniszczone i biedne, pełne biednej ludności, będziemy, myśląc o rozwoju tych osiedli, starali się wydobyć z nich więcej tężyzny, pobudzić je do życia, wymyślić ludziom nowy zarobek, stworzyć nowe rzemiosła w okolicy, pchnąć nową kolej, szosę, postawić nowy zakład przemysłowy itd.

W tej wielkiej, uciążliwej i upartej pracy potrzebne jest współdziałanie człowieka, człowieka z wioski, z miasteczka i z wielkiego miasta.

Zbyt często się u nas zapomina, że w gospodarowaniu kapitał pieniężny odgrywa stosunkowo bardzo małą rolę i że jest dostateczny, by podjąć bardzo wiele pożytecznych i zyskownych czynności, których się nie podejmuje tylko dla braku innych wartości a nie wartości pieniężnych.

żeby dojść do takich osiedli, do przerobienia starych, cuchnących nor i legowisk, trzeba przeprowadzić długą jeszcze walkę o charakter człowieka w Polsce. Sprawie tej trzeba na pewno poświęcić więcej uwagi, niż dotychczas.

Problem planowania i społecznego wychowania człowieka staje się coraz bardziej aktualny i u nas. Objawy tego są wyraźne w reglamentowaniu pracy młodej inteligencji. Praca prawnika i lekarza już poddana została planowemu zacieśnieniu dawnej zupełnej swobody i niezależności w wybieraniu sobie drogi czy miejsca pracy.

W planowaniu odgrywa decydującą rolę wartość materiału, np. materiału młodych lekarzy, którzy pójdą na wieś zgodnie z ostatnią ustawą sejmową. Stąd zagadnienie szkolenia charakterów nabiera coraz większej doniosłości, a jest to dziedzina, która nie znalazła dotychczas realnego nastawienia w pracy szkolnej i wychowawczej. Pracy szkolenia charakterów odjęto całą użytkową wartość, wartość realną, opłacalną w życiu, rozumiejąc ją opacznie niemal powszechnie jako dążenie do umoralniania, względnie dążenie do osiągnięcia celów niebieskich, całkowicie sprzecznych jakoby z celami ziemskimi. Oczywiście nie negując wysokiej wartości tych prac dla każdego człowieka, trzeba stwierdzić, że istnieje obok tego wychowanie charakterów zgodne z wymogami moralności i religii, a związane najmocniej z życiem realnym, z gospodarzeniem na ziemi, — tego typu szkolenia charakteru nie prowadzi się zupełnie.

W opinii młodzieży należy odbudować wiarę, że charakter jest ważny w zdobywaniu stanowiska na ziemi, że jest tak samo potrzebny jak wykształcenie; trzeba zrewidować cały nasz system szkolenia w tej dziedzinie, wyplątać się z fałszywych opinii i sądów. Gdy myślę o tem nie mogę się oprzeć przeciwstawieniu naszego stanu ze stanem w krajach anglosaskich, gdzie kształcenie charakteru w szkole najpiękniejsze osiąga rezultaty, gdzie szkoła odpowiedzialną jest za swoich wychowanków, za ich czyny w dalszym ich życiu i gdzie pojęcie „charakteru” jest bardziej kupieckie, oznacza kupiecką solidność, terminowość, energię i zaradność „selfhelp and selfcontrol”, co oczywiście ma wpływ na osiąganie zysku na ziemi, na zwiększanie dochodów.

Należało by gorąco życzyć nam przeprowadzenia w tej dziedzinie rewizji pojęć, metod, sposobów i środków, bo te, które panują, na dobre nam nie wychodzą i nie pasują już zupełnie do dzisiejszej rzeczywistości.

U W A G I

DZIWNE OBLICZE

Stosowanie przepisu prawnego ma w życiu gospodarczym — jak zresztą i w innych „działach" życia — znaczenie niesłychanie doniosłe. Normy prawne, aczkolwiek same przez się niewiele mogą *stworzyć*, przyczyniają się do kształtowania biegu spraw gospodarczych. Zakazy i nakazy, normy ilościowe i jakościowe oddziaływują dość żywo na strukturę zjawisk ekonomicznych, stając się tem, czem dla nurtu rzeki są ocembrowane, uregulowane, wzmocnione faszyną czy betonem brzegi, zaopatrzone w „ostrogi", których zadaniem jest niedopuszczenie nurtu do rozmycia lądu.

Kierowanie życiem gospodarczym, z natury bardzo bujnym, często nie dającym się przewidzieć w swych przejawach i skutkach, nie należy do czynności łatwych. Przepisy, życia tego dotyczące, muszą być jasne, proste i celowe, ostrożne i przewidujące, a zwłaszcza dopasowane do realnych warunków materialnych. Zasada: „według stawu grobla" powinna obowiązywać w założeniu i wykonaniu przepisu. W przeciwnym razie albo przepis będzie złamany lub ominięty, albo prawidłowy tok procesów gospodarczych zostanie zwichnięty kosztem dobrobytu jednostek i całości.

Polskie ustawodawstwo gospodarcze można by podzielić na dwie grupy: do jednej zaliczyć wypada normy prawne, bezpośrednio dotyczące spraw gospodarstwa narodowego (np. prawo bankowe, celne, przemysłowe, skarbowe etc.), do drugiej zaś normy, w sposób pośredni zahaczające o sprawy gospodarcze. Ta druga dziedzina — nie ulega najmniejszej wątpliwości — jest bardziej niebezpieczna, zawiera bowiem w swych zakamarkach zdradliwe pułapki, grożące dotkliwemi karami tym, którzy o nich nie wiedzieli lub wbrew nim postępowali. Dziedzina ustawodawstwa socjalnego, przepisy sanitarno - porządkowe, normy z zakresu prawa administracyjnego itd.: oto przykłady ustawodawstwa pośredniego, które w Polsce wzbudza tyle — i to najczęściej słusznych — zastrzeżeń.

Ale same normy — bezpośrednie i pośrednie nie decydują o wszystkim. Chodzi tutaj o rzecz bardziej istotną: o atmosferę i ducha ich *wykonywania*. Bo dopiero przy realizacji przepisów ujawnia się istotny sens i cel ustaw czy rozporządzeń, a gospodarstwo obywatela Rzeczypospolitej odczuwa na sobie ciężar nie tyle ustaw, ile zarządzeń i jednostkowych poleceń (nakazów luz zakazów), wydawanych przez władze wykonawcze.

I tutaj trzeba zrobić zastrzeżenie pierwsze: przepisy nasze układane są pod kątem daleko idących *rygorów*, co w praktyce prowadzi do stosowania *wyjątków*. Metoda ta, wynikająca z nadmiernej, przesadnej troski ustawodawcy, marzącego o przegonieniu Europy, wydaje w życiu codziennym skutki dość opłakane. Trzeba bowiem mieć duży hart ducha, mocne nerwy i elastyczną kalkulację, aby móc, działając w oparciu o regułę surowego przepisu, nie bać się konkurencji, operującej łagodnym wyjątkiem. A ponieważ podobne cechy występują dość rzadko, ogół zainteresowanych stosuje metodę sabotażu zbyt twardych norm prawnych, regularnego ich omijania i lekceważenia oraz wysilania się jedynie w tym kierunku, aby per fas et nefas uzasadnić stosowanie wyjątku właśnie do danego „homo oeconomicus".

Im twardsze. surowsze, bezwzględniejsze przepisy, tem większy odsetek wypadków łamania i obchodzenia prawa. Obowiązuje tu dość prosty rachunek, który określa granice ryzyka. Obywatel kalkuluje, że skoro wyjątków i tak będzie więcej, niż wypadków lojalnego wykonania prawa, skoro organy wykonawcze zgóry są sceptycznie usposobione do rygorów ustawy lub rozporządzenia, skoro wreszcie egzekutywa i kontrola są za słabe, aby pilnować honorowania norm prawnych — to szansa „wpadunku" jest tak mała, a pokusa tak wielka, iż opłaci się pójść po linii wyjątku, nie zaś reguły. Raz na tę linię wkracza się samemu, oglądając się przed siebie i za siebie, czy nikt nie widzi kiedy indziej zato zaprasza na nią czynnik wykonawczy, który ze stosowania wyjątków zrobił dla siebie bardzo wygodny, elastyczny „fond de manoeuvre".

„Osobny rozdział" w dziedzinie stosowania prawa stanowi wzajemna *lojalność* pomiędzy władzą administracyjną a obywatelem. Ten ostatni, szczególniej w b. dzielnicy rosyjskiej, nie jest dostatecznie wdrożony w przepisy prawne i albo ich nie zna, albo świadomie je przekracza. Obywatel przyzwyczaił się robić wszystko, co prawo przepisuje, na ostatnią godzinę i jest niesłychanie zdziwiony i oburzony, że mu każą wykonać to albo owo zarządzenie w ciągu, powiedzmy, dwudziestu czterech godzin, które są już ostatnim, przez prawo określonym, terminem.

Ale tenże niesforny „homo oeconomicus" ma trochę racji i wyrachowania. On wie z doświadczenia, że rygory są niedotrzymywane i że władze lubią „patrzeć przez palce". Wiadomo mu również nie z teorii, iż t. zw. nieżyciowe normy są w ostatniej chwili odraczane, nie opłaci się więc być gorliwym, szybkim i lojalnym. Czy to będzie płatność podatków w okresie kryzysu, czy malowanie płotów i nadawanie estetycznego wyglądu parkanom, czy modernizacja zakładów wędliniarskich i piekarni — „homo oeconomicus przekonał się dowodnie, że nigdy nie jest za późno i że gwałt podniesiony przez spóźnialskich zawsze wyda pożądane przez nich owoce.

Ta dziwna miękkość i ustępliwość w ostatniej chwili, przejawiane przez władze administracyjne, doskonale kojarzą się z bezwzględną, chociażby nonsensową surowością (chciałoby się powiedzieć: okrucieństwem) przepisów, których realizacji nikt nie jest w stanie przeszkodzić. W Nowogródku, gdzie targi gminne odbywają się od Bóg wie jak dawno na rynku, nagle ni stąd ni z owąd pojawia się „obwieszczenia burmistrza, który w dniu 19 czerwca komunikuje ludności, na mocy uchwały rady miejskiej na mocy uchwały Rady miejskiej z 17 czerwca targowisko będzie przeniesione na peryferie miasta i to z dniem... 20 czerwca. Nie minęła jeszcze doba od rozplakatowania „obwieszczenia", a już po-

licja przystąpiła do dzieła. To się nazywa sprawne działanie przypominające najlepsze wzory wojenne zaskakiwania przeciwnika.

Przykład Nowogródka nie jest odosobniony. Ma on wielu poprzedników i wielu znajdzie następców. życiu gospodarczmeu pozostawi się możność protestowania lub dążenia do obalenia podobnej normy prawnej. Być może, władze wyższe uznają, że się zarząd miejski (nie bez „Wink von oben") zagalopował. I potem będzie nieprzyjemnie, gdy radykalny przepis trzeba będzie odwołać. Nie wzmocni to *poczucia prawnego* w niezdyscyplinowanym społeczeństwie, jak nie wzmocniło ładu prawnego złagodzenie słynnych przepisów o malowaniu żywopłotów, burzeniu murów i zakładaniu anten.

Ta ostatnia historia (nazwana dowcipnie „bitwą pod parkanami") posiada jeszcze jedną stronę, o której się zapomina w podobnych wypadkach. Przepisy porządkowe, sanitarne i tp., mające na celu forsowne wyrównanie z Zachodem, biją obuchem nie w wielką własność, nie w duży kapitał (któremu się zresztą dostało w odnośnym okólniku), ale właśnie we własność drobną, w małych posiadaczy działek i domów, w ciułaczy i rentierów. Element, nie posiadający żadnej własności, zaciera ręce z uciechy, że rząd dokuczył nieznośnym kamienicznikom i fabrykantom. Mniej zadowoleni są ci, co z oszczędności wybudowali sobie domki; zmiana ogrodzenia będzie ich kosztowała niekiedy więcej, aniżeli roczne raty za dom i teren. Nie mówimy już o schodach i stratach, wywołanych lojalnym (wobec ustawy) postępowaniem władz administracyjnych, które w ciągu 24 godzin nakazały dokonanie zmian i poczynienia wydatków, przetwarzających możliwości płatnicze większości zainteresowanych. że taka lojalność i służbistość nie pogłębiły poczucia prawnego w społeczeństwie, to także nie podlega dyskusji.

A czy wzmacnia szacunek i zaufanie do prawa procedura władz skarbowych, naturalnie nie wszystkich? Czy należą do rzadkich wyjątków wypadki, kiedy petenta, powołującego się na wyrok Najwyższego Trybunału Administracyjnego w analogicznej sprawie, załatwia się odmownie, wyjaśniając mu, że wyrok wyrokiem a urząd urzędem, i że petent może skarżyć do Trybunału, w międzyczasie zaś musi płacić?...

Nie jest łatwe zadanie ustawodawcy w Polsce, jak nie jest łatwa funkcja egzekucji prawa. Ileż trzeba mieć *wyczucia*, co można, a czego nie można, ileż trzeba *przewidzieć*, zanim się wyda najbardziej skądinąd piękny przepis, ileż trzeba mieć *stanowczości* i nie ulegać podszeptom, proszącym o wyjątek! Mało kto potrafi *lojalnie* wobec prawa i *pożytecznie* dla obywateli wykonać „dura lex sed lex". Niewielu umie żądać rzeczy możliwych i wykonać je uczciwie, w stu procentach. Większość, olbrzymia większość usiłuje zburzyć świat w godzinę, aby na pięć minut przed terminem cofnąć się na całej linii. Wzbudzić nie strach przed normą prawną, lecz *szacunek* dla niej i *posłuch:* to potrafią tylko nieliczni.

I dlatego życie gospodarcze w Polsce ma często rację, gdy broni się przed ingerencją ze strony państwa, bo ta ingerencja ma dziwne oblicze.

K. Brodnicki.

OBRACHUNKI I PORACHUNKI STATYSTYCZNE

Mały Rocznik Statystyczny oddaje wielkie usługi publicystom gospodarczym, dostarczając im materiału i natchnienia, zwłaszcza w czas upalny, gdy o natchnienie jest szczególnie trudno. Brak natchnienia można przy tem zastąpić pracowitym mnożeniem i dzieleniem.

Od dłuższego czasu męczy mnie jak zmora wskaźnik produkcji przemysłowej w roku 1937 — 85! Dlaczego właśnie 85, kiedy publikowane tu i ówdzie cyfry produkcji w tonach czy sztukach w olbrzymiej ilości wypadków przekraczają znacznie poziom 1928 roku? Przy czem jak wiadomo, wskaźnik produkcji jest obliczany na podstawie przepracowanych robotniko-godzin bez uwzględnienia zmian w wydajności pracy. A zmiany te są duże. Pan L. Landau obliczył wskaźniki wydajności pracy dla niektórych gałęzi przemysłu, a G. U. S. umieścił te liczby pod tablicą przepracowanych robotniko-godzin w przemyśle, jakby prowokując dociekliwych ludzi do przeliczeń na własną odpowiedzialność. Zrobiłem to i uzupełniłem jeszcze innemi liczbami jak np. produkcja górniczo-hutnicza, publikowana w tomach, a więc ta rzeczywista, nie ulegająca żadnej wątpliwości, oraz danemi o produkcji: przemysłu metalowego, na podstawie wiadomych mi danych o obrotach tej gałęzi przemysłu w latach 1928 i 1937.

I tak powstał poniższy szereg:

Wskaźniki produkcji (rok 1928 = 100).

Produkcja górnicza.		*Przemysł przetwórczy.*	
Węgiel	90	Mineralny	124
Ropa naftowa	67	Metal. i elektrotechn.	150
Sól kamienna	108	Włókienniczy	123
Sole potasowe	152	Papierniczy	162
Rudy żelazne	111	Drzewny	108
Rudy cynkowe	60	Spożywczy	97
Rudy ołowiane	52	Energia elektryczna	140

Produkcja hutnicza.

Surówka	106
Stal	101
Wyroby walcowe	100
Cynk	66
Ołów	49

Dla ścisłości zaznaczam że produkcja przemysłu metalowego w 1928 r. wyniosła 1 miliard zł, w 1937 roku—900 mil. przy wskaźniku cen 60, co daje wskaźnik materialny produkcji 150. Reszta cyfr powstała z pomnożenia wskaźnika robotniko-godzin na wskaźniki wydajności pracy (M. R. Statystyczny str. 245). Co do innych gałęzi przemysłu nie ma danych o wydajności pracy. Pozostają więc nieuwzględnione przemysły: chemiczny, skórzany, odzieżowy, budowlany

i poligraficzny. W chemicznym liczba robotniko-godzin przepracowanych w 1928 r. była 83,7 tys., w 1937 r. — 91,8 tys., a więc nawet bez uwzględnienia wzrostu wydajności pracy wskaźnik jest powyżej 100, a z uwzględnieniem — wypadnie co najmniej 130. W skórzanym ta sama sytuacja. Wystarczy zobaczyć dane o produkcji poszczególnych artykułów tego przemysłu na str. 127, gdzie widzimy wzrost produkcji w stosunku 1929 r. we wszystkich prawie pozycjach. W przemyśle odzieżowym i budowlanym widzimy znaczny spadek liczby przepracowanych robotniko-godzin. Ale wzrost produkcji przemysłu włókienniczego i mineralnego kłóci się z wnioskiem o spadku produkcji w przemysłach odzieżowym i budowlanym, tem bardziej, że znany jest fakt dużych postępów mechanizacji pracy w tym ostatnim. W przemyśle poligraficznym liczba przepracowanych robotniko-godzin jest tylko nieznacznie mniejsza, ale wszyscy mający do czynienia z drukarstwem wiedzą o ogromnym rozroście składu maszynowego w drukarniach i zaniku składu ręcznego.

Można zatem twierdzić, że wskaźnik bezsprzecznie poniższy 100 mają tylko: przemysł węglowy, kopalnictwo rud cynkowych i ołowianych, oraz hutnictwo cynku i ołowiu, a w przemyśle przetwórczym — przemysł spożywczy (z winą chyba wyłącznie przemysłu cukrowego). Przy tem poniżej poziomu 85 jest tylko górnictwo i hutnictwo cynku i ołowiu reprezentujące 1% (!) ogółu przepracowanych w przemyśle i hutnictwie w 1937 r. robotniko-godzin. Więc w jaki sposób wskaźnik ogólny produkcji ma być 85?! Wskaźnik ten jest w absolutnej niezgodzie ze wszystkiemi cyframi o produkcji przemysłowej publikowanemi w wydawnictwach oficjalnych i tchnie przeraźliwym defetyzmem. U naszego wschodniego sąsiada za znacznie mniejsze grzechy posyłano statystyków pod ściankę.

W końcu maleńka uwaga na marginesie walki z etatyzmem, uwaga spowodowana jedynie zdrożną chęcią popełnienia złośliwości. Ale — difficile est satiram non scribere. W dziale produkcji górniczo-hutniczej gałęzie podległe państwu całkowicie lub w przeważającym stopniu — żelazo, rudy żelazne, sól kamienna i sole potasowe mają wskaźniki produkcji powyżej 100, a węgiel nafta, cynk i ołów gdzie rządzi niepodzielnie inicjatywa prywatna — poniżej 100 i to poważnie. Pocieszmy się jednak przynajmniej tem, że nie jest to polska inicjatywa prywatna, która dominuje np. w przemyśle metalowym i papierniczym, wykazującym największy wzrost wytwórczości.

z. sz.

NOTATKI

NIEPEŁNA REGLAMENTACJA

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami gorszącego kontredansu, tańczonego przez Rząd i przemysł włókienniczy na tle obniżki cen przędzy bawełnianej. Tło jest nie tyle dekoracyjne co bardzo charakterystyczne. A że popisami choreograficznymi tej treści społeczeństwo jest raczone dość często, przeto mimowoli powstaje pytanie: na czyją cześć odbywają się owe pląsy? Odpowiedź jest prawie zawsze ta sama: na cześć bóstwa któremu miano — *niepełna reglamentacja.*

Czasy śp. prababki „wolnej gry sił na rynku" minęły bezpowrotnie. Wraz z nią powinny były zniknąć czasy kadryla. Wydaje się, iż z chwilą, gdy powszechnie zapanowała wszelkiego rodzaju reglamentacja (prywatna, publiczna i kombinowana), panowanie jej jest zupełne. Jest ona doskonała, pełna, skończona. Tymczasem rentowe zło *niekonieczne,* które z reguły towarzyszy kontygentowaniu, monopolowi i kartelizacji, jest tylko od czasu do czasu dostrzegane i zwalczane. W ten sposób czynniki prywatno-gospodarcze korzystają w pełni ze swego monopolistycznego stanowiska na rynku, wytwarzanego bądź tolerowanego przez czynnik publicznogospodarczy. Czynnik ów czy to ze względu na swoją niedoskonałość, czy niedoskonałość metod przez siebie stosowanych, czy innych jeszcze względów, stwarza bądź toleruje warunki, w których dopiero panoszy się „prywatna inicjatywa".

Wprowadzona nieraz z najszczytniejszych pobudek reglamentacja: przywozu, produkcji, dystrybucji, stwarza, wespół z istnieniem organizacyj monopoloidalnych, rentę kontyngentową spokojnie inkasowaną przez skartelizowane gałęzie życia gospodarczego. Dopiero gdy renta staje się już bardzo bolesna dla społeczeństwa, gdy nieskartelizowani mniejsi wytwórcy i przetwórcy przypłacają likwidacją zakładów jej istnienie, gdy fakt pobierania renty dociera poprzez społeczeństwo do czynników publiczno-gospodarczych, dopiero wtedy przychodzi (albo zamierza przyjść), rewizja istniejącego stanu rzeczy, w sensie przywrócenia nadwerężonej równowagi. Ponieważ jednak np. reglamentacja przywozu była traktowana jako narzędzie tymczasowe i dorywcze, aparat zaś wykonywujący reglamentację jest jak dotychczas powołany wyłącznie do ograniczeń ilościowych, bez wglądu w pobieranie cen, kształtują się one tak, jak to się podoba beniaminkom reglamentacji. Dorywczość interwencji w zakresie cen powoduje jej krótkotrwałą i pozorną skuteczność. Zainteresowani bowiem, przyciśnięci do muru na jednym odcinku, potrafią odbić sobie „straty" z nadwyżką na innym. Jest rzeczą charakterystyczną, iż tam gdzie reglamentacja trwa od dawna i gdzie wskutek tego kontrola cen ma pewną tradycję i nastawiony na to aparat, pobieranie renty monopolowej zdarza się rzadziej, częściej się zdarza natomiast rewizja cen.

Konkretnie. Dużo w swoim czasie było hałasu, dokoła inkasowania przez olejarnie, przerabiające koprę i palmę, horendalnej renty kontyngentowej. Straty społeczeństwa z tego tytułu były obliczane na miliony złotych. Zainteresowane olejarnie nie mogły zaprzeczyć dowodowi rachunkowemu, z którego wynikał niezbity fakt istnienia i inkasowania renty kontyngentowej. Nie negował jej istnienia. Wskazywał jedynie na to, iż obraca ją na pokrycie rzekomych strat, związanych z przerobem krajowych nasion oleistych. Rentę „nieproduktywnie" inkasować miał jedynie handel. Gdy jednak vox populi zbyt natarczywie domagał się skasowania renty, przemysł dość łatwo zrezygnował z jej pobierania, i zgodził się na obniżkę cen egzotycznych tłuszczów. Odkuł się bowiem na zwyżce cen krajowych olejów, nieproporcjonalnie wysokiej w stosunku do zwyżki cen krajowych nasion.

W 1937 r. ceny wełny spadły bardzo silnie (do 40%). Wskazywano podówczas na konieczność obniżki cen przędzy. Przemysł nie przeczył faktowi zniżki cen wełny (bo tego uczynić nie mógł) i wynikającej stąd potrzeby obniżki cen przędzy. Wypowiedział się nawet za obniżką przędzy, ale... od przyszłego sezonu. Jasne iż w tym wypadku liczył na zapomnienie sprawy, bowiem wiedział, że nie ma w administracji gospodarczej czynnika, który by dopilnował wykonania uzasadnionej obniżki cen.

Gdy w roku ubiegłym spadły ceny bawełny i powstała konieczność obniżki cen przędzy, po długotrwałych targach przemysł zgodził się na pewną minimalną zniżkę cen przędzy bawełnianej, nieproporcjonalną do spadku cen bawełny. Gdy ostatnio ceny bawełny nadal spadły i powstał wskutek tego problem ponownej obniżki cen przędzy — jesteśmy oto świadkami tańca, o którym była mowa na wstępie.

Niechcąc mnożyć przykładów, których jest bez liku, wypowiadam się za uzupełnieniem reglamentacji ilościowej *przez stworzenie odpowiednio czułego aparatu w zakresie cen.* Sejsmograf ów alarmowałby administrację gospodarczą o potrzebie obniżki cen artykułów gotowych, na skutek spadku cen surowców. Aparat ten następnie dokonywałby obliczeń, o ile dane ceny miałyby być obniżone, po czem administracja gospodarcza *zaopatrzona w dostateczne sankcje* wprowadzałaby obniżkę cen. Związana z tem rozbudowa administracji gospodarczej i koszty z tem złączone byłyby niewspółmiernie małe w stosunku do haraczu, płaconego przez całość gospodarki narodowej na rzecz pasożytniczych czynników prywatno - gospodarczych. Koszt byłby stosunkowo nieznaczny również dlatego, że w dużym stopniu, zadanie o którym mowa wyżej, mogłoby być wykonane przez istniejący aparat. Wystarczy go jedynie zaopatrzyć w dostateczne możliwości dokonywania trafnych obliczeń i w *niezbędne sankcje.* Tak, aby każdorazowa zniżka cen nie przysparzała społeczeństwu gorszących widowisk: targów, kampanii prasowej, interwencji itp.

g. s.

ŚLEDŹ I WÓDKA

O potrzebie i bolączkach motoryzacji napisano już tak wiele i to przeważnie tyle słusznych rzeczy, że powracanie do tego tematu nie ma, właściwie biorąc, większego sensu. I gdyby nie artykuł w „Polsce Zbrojnej" (nr. 182), niniejsza notatka nie ujrzałaby światła dziennego.

Ilość samochodów w danym kraju zależy od możności ich kupna i używania. Kraj biedny samochodów nie kupuje albo bardzo mało. Na złych drogach i bezdrożach masowo też się nie jeździ, a wyjątki potwierdzają regułę. I dlatego ani istnienie „asów" sportu samochodowego, ani posiadanie aut tylko przez „górne dziesięć tysięcy" nie świadczą o zmotoryzowaniu danego kraju.

Ażeby samochodów było dużo, muszą być tanie. W bogatszych od polskiego społeczeństwach Europy samochód „idzie" przeciętnie w cenie polskiego motocykla. Świetne szosy i tania benzyna sprzyjają potanieniu kosztów eksploatacji, co z kolei przyczynia się do rozwoju automobilizmu i — sprzedaży samochodów.

I naprawdę jest kwestią drugorzędną, czy samochody są krajowe czy zagraniczne. Bogata Belgia importowała masowo Fordy i inne obce marki. W wielu innych, od naszego bogatszych, krajach, import samochodów nikogo nie napawa wstydem. Rywalizacja dostawców zagranicznych — nawet w ramach gospodarki dewizowej — sprzyja rozwojowi popytu na auta. Każdy samochód rozpycha, jeśli się tak można wyrazić, rynek i robi miejsce dla następnego.

W Polsce powyższe truizmy przyjmują się niechętnie, powoli albo wcale. Są przecież takie koła, które nie dopuszczają myśli, że najpierw import, a dopiero potem produkcja krajowa. To coś tak jak z „zagrychą": najpierw śledzik, potem wódeczka. Zapewne, można pić wódkę i „na sucho", ale to szybciej i pewniej... ścina z nóg.

I dlatego dziwny wydaje się artykuł w „Polsce Zbrojnej", atakujący przemysł krajowy za brak inicjatywy w kierunku budowy fabryk samochodów. Bez gwarancji państwowej, bez premii i tp. budować fabryki (już nawet nie fabrykę) samochodów, kiedy ilość kursujących aut wynosi aż 40.000 — to czyste szaleństwo. A zresztą, co nie jest żadną tajemnicą — nie znalazł się dotąd ani czynnik odpowiedzialny, ani czynnika tego decyzja co do tego, jaki typ aut może i powinien być w Polsce wytwarzany. Komisja Motoryzacyjna nie zdobyła się do dziś dnia na wybór typu, a biedny „Polski Fiat" jest już — dla cywilów — skończony. Nie zapomnijmy także o drobnym szczególe: produkcja samochodów jest u nas przemysłem koncesjonowanym.

Mamy niesłychanie piękne ambicje, aby obok polskiego np. rolnictwa mieć równie polski przemysł samochodowy. Na ambicjach jednak się kończy. Dla ścisłości należy dodać, że potrzeby armii zostały zaspokojone. To znaczy zaspokojone w sensie bezpośrednim. Bo pośrednio — wcale, skoro wszelkie próby stworzenia pojemnego rynku samochodowego w Polsce kończą się... brakiem decyzji czynników, o wojsko opartych.

z. i.

O JEDNEJ ŚWINI, CO ZJADŁA TONĘ ZBOŻA

Ukazał się gruby tom „Pamiętników chłopskich", wykazano liczbowo z różnych stron stopień przeludnienia wsi polskiej, przy czem spór dotyczył tylko tego, czy przeludnienie to wyraża się ośmioma czy czteroma milionami ludzi, nikt samego ogromu przeludnienia nie podważył, od lat dziesięciu wreszcie ukazuje się liczbowe zestawienie, jak odżywiają się właściciele gospodarstw badanych przez Instytut Puławski, ale dla zawodowych optymistów wszystkiego mało. Według jednego z nich, (B. Światłowski w Nr. 7 „Dróg Polski"), to tylko „dane cyfrowe świadczą o wysokiej nadwyżce ludności w stosunku do środków wyżywienia, a nikt właściwie tego nie odczuwa i życiowo uzasadnić nie potrafi, albowiem środków wyżywienia mamy pod dostatkiem". Optymizm autora idzie tak daleko, że obliczając, ile to zboża musiało w Polsce przybyć, aby można było wykarmić nadwyżkę inwentarza żywego narosłą w Polsce między 1929 a 1937 rokiem, przyjął, że „sztuka bydła rogatego konsumuje szacunkowo 500 kg zboża, sztuka trzody chlewnej 1000 kg, koń zaś również 1000 kg zboża" wszystko po to, aby poprawić nieścisłą liczbę zbiorów czterech zbóż ze 113 milionów kwintali podawanych przez statystyki dla roku 1937 na 170 milionów wywiedzionych z owego „poddostatkiem" istniejących środków wyżywienia, stwierdzonego przez rozrzutnego autora. Tymczasem okazuje się, że nikt nie maluje rzeczywistości polskiej w tak ponurych barwach, jak właśnie B. Światłowski. Bo jeżeliby przyjęte przez niego normy spożycia zbóż przez inwentarz żywy rozciągnąć nie tylko na nadwyżkę tego inwentarza wyrosłą między latami 1929 — 1937, ale na cały inwentarz istniejący w roku 1937 (chyba nie tylko nadwyżką tak się odżywia)', to okazało by się, że spożycie bydła rogatego, koni i trzody chlewnej wyniosłoby prawie całą produkcję czterech zbóż, a ludność musiałaby jeść łącznie z resztą inwentarza i drobiem przede wszystkim ziemniaki. Szacunek ten przedstawiałby się w sposób następujący:

Konie	3.890 tys.	à 10 q	38.900 tys. q
Bydło rogate	10.572 tys.	à 5 q	52.860 tys. q
Trzoda chlewna	7.696 tys.	à 10 q	76.960 tys. q
Razem			168.720 tys. q

Oto do jakich rezultatów muszą się dogadać zawsze ci, którzy opuszczą jedynie dostępny dla siebie teren grzmienia w puzony, a przejdą do niewdzięcznych liczb. Odżywiani na ziemniakach mieliby mniej dechu.

A swoją drogą 10 q zbóż średnio na każdego świniaka (bez względu na to, czy to prosiaczek czy wieprzek), to nawet, jak na poziom rozważań gospodarczych w Polsce, kawał po prostu przedni.

d. m.

HOMO OECONOMICUS W POTRZASKU

Pan p. t. w notatce „Homo Oeconomicus in flagranti” komentuje „działalność” handlarzy okrężnych, którzy sprzedają na raty płótna rzekomo najlepszej marki. Nabyte sztuki okazują się jednak zwykłą tandetą, a cała „tranzakcja” także sztuką — lecz ogłupiania naiwnych, przeciwko której trudno się bronić, gdyż przezorny sprzedawca umieścił na „kwicie-umowie” zastrzeżenie właściwości sądu krakowskiego dla sporów wynikłych na tle wykonania umowy. W związku z tem twierdzi pan p. t. „że dochodzenie strat na drodze sądowej jest praktycznie uniemożliwione.

Takie postawienie sprawy polega jednak na nieporozumieniu. Ustawodawca był bowiem przezorniejszy jeszcze od doświadczonego handlarza i stworzył nie dającą się obejść pułapkę na niego. Poprostu — wbrew twierdzeniu Szan. Autora cyt. notatki — należy przestać płacić raty. Sprzedawca nie może bowiem zaskarżyć kupującego w Krakowie, gdyż wszelkie postanowienia umowne wyznaczające właściwość sądu krakowskiego są z samego prawa nieważne. Sprzedawca może bowiem dochodzić roszczeń przeciwko kupującemu wyłącznie przed sądem państwowym jego właściwości ogólnej w zasadzie miejsca zamieszkania, to jest w opisanym wypadku przed sądem warszawskim. (art. 563 Kodeksu Handlowego). Inna rzecz, czy w każdym wypadku niepłacenia rat kupujący może bronić się żądaniem obniżenia ceny, gdyż w zasadzie powinien zawiadomić sprzedawcę o wadzie w ciągu miesiąca od jej wykrycia, względnie w ciągu miesiąca od czasu, w którym przy należytej staranności mógł ją wykryć (art. 324 § 1 Kod. Zobowiązań), ponadto zaś traci prawo żądania obniżenia ceny po upływie roku od otrzymania rzeczy, chyba, iż przed tem zawiadomił sprzedawcę o wadzie (art. 336 § 1 i § 3 Kod. Zob.). Z notatki pana p. t. zdaje się wynikać, że sprzedawcy zatajają podstępnie wady płótna, a w tych wypadkach sprzedawca nie może się bronić upływem terminów (art. 324 § 3 i 336 § 4 Kodeksu Zobowiązań).

Wobec powyższego konkluzja notatki pana p. t. powinna być inna: nie trzeba płacić według rachunku, jeżeli sprzedawca podstępnie zataił wady płótna, albo jeżeli go w porę o wadach zawiadomiono. Sprytny homo oeconomicus złapie się wówczas sam w potrzask, przygotowany przez przewidującego ustawodawcę.

r. p.

CO ZANADTO TO NIEZDROWO

Liczni nasi obserwatorzy życia gospodarczego i kulturalnego mają niewątpliwie wyraźną skłonność do przesady. Jedni z nich uważają, iż przesadne ujmowanie zjawisk jest konieczne, gdyż jedynie tą metodą można zwrócić uwagę opinii publicznej na pewne zagrożone odcinki życia. Ludzie ci, informując społeczeństwo o pewnych zagadnieniach, zupełnie świadomie przedstawiają je w kolorach przejaskrawionych, nie zupełnie odpowiadających rzeczywistości. Po pewnym czasie jednak, gdy pierwsze zadanie zwrócenia uwagi opinii publicznej zostanie spełnione, przechodzą oni do rozważań obiektywnych. W naszych warunkach, niestety, dość często trzeba się imać tego typu metody. Obojętność szerokich warstw społeczeństwa na cały szereg zagadnień, mających pierwszorzędne znaczenie dla Państwa — jest powszechnie znana.

Istnieją wszakże inni „obserwatorzy”, którzy sztukę „przesadzania” uprawiają bądź z zamiłowania, bądź też z wrodzonego wstrętu do głębszego myślenia. Mogą tu wchodzić w grę oczywiście jeszcze inne czynniki, jak demagogia, lenistwo, niewiedza itd.

Wszyscy doskonale pamiętamy, co się działo w prasie na temat zeszłorocznego nieurodzaju. Niektóre dzienniki w owym czasie podniosły niewiarogodny krzyk z powodu rzekomego widma głodu, który miał nawiedzić Polskę. Różni „informatorzy” przepowiadali bardzo ciężkie czasy dla całego kraju, a w szczególności dla naszego rolnictwa. Oczywiście wylewali przy tem łzy i „cierpieli za miliony” na tle ponurych horoskopów. Rzecz oczywista, iż takie ujmowanie sprawy oznaczało albo złą wolę albo patologiczną skłonność do przesady. Jak wiemy rok ubiegły okazał się zupełnie dobry, wiele dziedzin życia gospodarczego odczuło dalszą i to bardzo znaczną poprawę. Sytuacja w rolnictwie przedstawiała się na ogół również pomyślnie.

Inny przykład. Od pewnego czasu (od 2 — 3 lat) w części prasy stało się modne pisanie o nędzy i prymitywiźmie naszego społeczeństwa. Jakżeż mówiąc np. o wsi nie zaznaczyć, iż panuje tam nędza i stosunki średniowieczne. Oczywiście jest to przesada. Przede wszystkim samo pojęcie nędzy jest względne. Życie naszego sześciohektarowego gospodarza może się wydać dla rolnika szwedzkiego istotnie nędzne, tem nie mniej z punktu widzenia naszych stosunków gospodarczo - społecznych dobrze zagospodarowany rolnik kilkunasto czy nawet kilkohektarowy stanowić będzie właśnie środowisko zamożności. Poza tem poziom rozwoju gospodarczego różnych obszarów Polski jest rozmaity. Toteż nie można nędzy np. poleskiej czy łemkowskiej, rozciągać na całe państwo, nie wolno jej — generalizować.

Ostatnio mamy do zanotowania nowy niewątpliwie objaw skłonności do przesady. Mam na myśli zagadnienie importu. Sprawa ta jest istotnie ważna, wymagająca głębokich studiów. Poziom życia gospodarczego w kraju stale się podnosi, następują różne przemiany, mające charakter trwały bądź koniunkturalny. Wzrost przywozu jest zjawiskiem naturalnym. Chodzi więc o to, aby nie wpadać w przesadę przy przedstawianiu zagadnień handlu zagranicznego. Poco zaciemniać istotny stan rzeczy, poco podnosić przesadny alarm z powodu zjawisk, których istnienie nie zagraża bynajmniej bytowi gospodarczemu Państwa, a których likwidacja na pewno nastąpi?

Z przesadnym ujmowaniem różnych zjawisk naszego życia gospodarczo - społecznego trzeba usilnie walczyć. Autorzy „przesady” nie zdają sobie zazwyczaj sprawy jak wiele szkody przynoszą społeczeństwu.

a. r.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.